

Miłość  
i  
CZEKOLADA



RAVYNN K. STRINGFIELD

Miłość  
i  
CZEKOLADA



Przełożyła: Agnieszka Myśliwy



Tytuł oryginału: *Love Requires Chocolate*

Text copyright © 2024 by Cake Creative LLC  
All rights reserved including the right of reproduction in whole  
or in part in any form.

This edition published by arrangement with Random House Children's Books,  
a division of Penguin Random House LLC.

Copyright © for the Polish translation by Agnieszka Myśliwy

Redakcja: Magdalena Wołoszyn-Cępa  
Korekta: Marta Stochmiałek, Magdalena Magiera  
Skład i łamanie: Cyprian Zadrozny

Projekt okładki © 2024 by Bex Glendining  
Adaptacja okładki i projekt stron tytułowych: Magdalena Zawadzka/Aureusart

Copyright for the Polish edition © 2024 by Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.  
Wyrażamy zgodę na wykorzystanie okładki w Internecie.

ISBN 978-83-8266-431-7

Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2024

Adres do korespondencji:  
Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.  
ul. Ludwika Mierosławskiego 11a  
01-527 Warszawa

[www.wydawnictwo-jaguar.pl](http://www.wydawnictwo-jaguar.pl)  
[instagram.com/wydawnictwojaguar](https://www.instagram.com/wydawnictwojaguar)  
[facebook.com/wydawnictwojaguar](https://www.facebook.com/wydawnictwojaguar)  
[tiktok.com/@wydawnictwojaguar](https://www.tiktok.com/@wydawnictwojaguar)

Druk i oprawa: Opolgraf  
Wydrukowano na papierze CHB 60/2,4,  
dostarczonym przez **ZING** S.A.

REZYDENTKOM I REZYDENTOM MAISON FRANÇAISE  
PRZY UNIWERSYTECIE WIRGINII (2013–2016)  
ORAZ PROFESOROWI BLATTOWI.  
BARDZO DZIĘKUJĘ.





Co myślałam o Paryżu, zanim tam zamieszkałam:

1. Wszyscy ubierają się na czarno, ponieważ mają wrodzone wyczucie stylu. (Uwaga: dodać więcej czerni do jesiennej garderoby. Czerwień jest zbyt krzykliwa. Niestety w mojej garderobie jest więcej jej odcieni, niż w sklepie z farbami).
2. Ulice są brukowane serem, winem i czekoladą – a na pewno to właśnie składa się na asortyment sklepów. I dobrze. Marzę o francuskiej czekoladzie!
3. Wszędzie można spotkać seksowne osoby z seksownym akcentem.
4. Wszyscy wiecznie się całują. Wiecznie. (Oczywiście poza mną. Ja przyjechałam się uczyć. Muszę sprawić, by Josephine Baker była ze mnie dumna, w przeciwnym razie przodkinie będą nawiedzać mnie po wsze czasy).



5. Paryż to miasto wielbicieli kultury: sztuki, jedzenia, historii, muzyki...
6. To Francuzi wynaleźli romans – przeciągłe spojrzenia i tęskne westchnienia, wytworne komplementy i swobodne flirty. (Okej, może nie mam czasu na wspaniałą paryską historię miłosną z powodu całego tego zwiedzania i pisania, ale kto wie, jakie inne historie mogą się wydarzyć w tym mieście...)
7. Jak mówi babcia: „Paryż niezmiennie niesie ze sobą obietnicę wielkiej miłości”.





## SCENA PIERWSZA

DLACZEGO LUDZIE NIE DOCENIAJĄ WAGI  
PORZĄDNE ZROBIONEJ LISTY?!

– *Mademoiselle!*

Twarz zdyszanego mężczyzny przesłania mi widok, kiedy obracam się powoli, próbując uchwycić na filmiku ruchliwą ulicę przed Dworcem Północnym. Miasto nie jest bardzo głośne, więc słyszę swoje myśli, aczkolwiek cała ta francuszczyzna brzmi w moich uszach fałszywie. Czuję się jak ryba wrzucona do nowego wielkiego akwarium. Każdy głos sprawia, że się wzdrygam, bo choć znam język, nie potrafię nakłonić mózgu do tłumaczenia na tyle szybko, bym nadązała.

Twarz mężczyzny się trzęsie, kiedy moja ręka zaczyna drżeć z podekscytowania. *Jestem w Paryżu!*

– Um, dzień dobry! – mówię, opuszczając telefon i przesuując na czoło okulary przeciwsłoneczne w oprawkach typu kocie

oczy. – A raczej: *bonjour!* Trochę mi pan zaśłania. – Z czarującym, mam nadzieję, uśmiechem pokazuję palcem telefon.

Mężczyzna poczerwieniał od upału, a jego mina zdradza, że nie interesują go moje kadry.

– Whitney Curry? – pyta z akcentem tak silnym, że niemal pożera moje imię.

– Tak! To ja! We własnej osobie! – Mój sceniczny dotąd uśmiech staje się szczery.

Zauważam, że mężczyzna trzyma kartonową tabliczkę z logo z napisem: „lycée international des arts à paris\* (lia) – whitney curry”. Moje nazwisko jest pogrubione, a szczególne wrażenie robi na mnie wyszukany herb szkoły w nagłówku. Zastanawiam się, czy odda mi tabliczkę do mojego pamiętnika.

– Jestem monsieur Guillaume Polignac, przedstawiciel paryskiego Lycée International des Arts, mam panią zawieźć do bursy. – Ociera czoło chusteczką, a ja od razu wyciągam rękę.

– Enchantée\*\*... – mówię, ale monsieur Guillaume Polignac mi przerywa.

– Tędy.

Próbuję powstrzymywać irytację tym, że ignoruje moje wysiłki, by przejść na francuski. Marszczę nos z powodu jego nieuprzejmości, ale skoro to on ma mnie podwieźć do mojego nowego domu, drepczę za nim.

Zatrzymujemy się przy małym niebieskim samochodzie; mężczyzna z wysiłkiem wkłada mój kufer z monogramem (lity

---

\* Międzynarodowe Liceum Artystyczne w Paryżu.

\*\* Miło mi.

W i C białą czcionką z zawijaszami) i moją brązową skórzaną walizę do bagażnika. Mamrocze coś przy tym i przeklina po francusku.

– Co pani tam ma... całego człowieka?

– Och, same najpotrzebniejsze rzeczy – odpowiadam pogodnie. – Kostiumy, dodatki, specjalne lampy. Wie pan... wszystko, czego dziewczyna potrzebuje do szczęścia. Lubię być przygotowana na każdą ewentualność!

Monsieur Guillaume Polignac unosi brwi, po czym napiera na kufer, aby się zmieścić.

– Przedziwny bagaż.

– Vintage. Bardzo rzadko spotykany.

Zajmuję fotel pasażerki i zapinam pas, uważając, by wyciągnąć spod niego warkoczyki. Serce obija mi się o żebra, bardzo staram się trwać nieruchomo. Mam ochotę tańczyć z radości, ale spojrzenie z ukosa na mojego kierowcę o kamiennej twarzy powściąga ten impuls.

Monsieur Polignac nie zadaje mi żadnych pytań, nie włącza radia, kiedy uruchamia silnik, ale to dobrze, bo muzyka przeszkadzałaby mi śnić na jawie. W mojej głowie trwa gonitwa myśli. Wyobrażam sobie, że wypożyczam samochód i jeżdżę do Château des Milandes, gdzie Josephine Baker spędziła większość życia ze swoimi dziećmi, w weekendy wolne od rygorystycznej paryskiej szkoły artystycznej. Muszę stanąć tam, gdzie ona stała. Muszę odetchnąć tym samym powietrzem co ona. Muszę się tym wszystkim nasycić, aby pewnego dnia zyskać równą jej sławę.

Próbuję manifestować wielkość, ale w mojej kieszeni uporczywie wibruje telefon. Obija się o drzwi samochodu. Napływają wiadomości od mamy: zadaje mi tysiące pytań o lot, przypomina o włączeniu udostępniania lokalizacji. Głęboki wdech i wydech, po czym sięgam po urządzenie, by je wyciszyć.

*Nie teraz, mamo. Upajam się Paryżem.* Staram się nie myśleć o tym, jak stresuje ją fakt, że po raz pierwszy podróżuję sama, i o wszystkich lotach odbytych razem z nią, które przygotowały mnie na tę chwilę. Gryzie mnie trochę sumienie, że wolałabym napisać do babci, by dzielić tę doniosłą chwilę z przynajmniej jedną z nich, ale ostatecznie dochodzę do wniosku, że obie będą musiały poczekać. Odchylam się na oparcie z myślą, że w końcu mogę wieść nowe życie daleko od krzątającej się wiecznie wokół mnie mamy.

Monsieur Polignac przedziera się przez korek na malowniczej ulicy. Wszystko wygląda jak z pocztówki, z pięknymi ogrodami za żelaznymi ogrodzeniami i kremowymi budynkami wyglądającymi jak wymyślne torty. Mijamy cudowne witryny sklepów pełne perfum, apaszek i torebek. Po chodnikach spacerują piękni ludzie ze świeżymi kwiatami i bagietkami w rękach. Chyba widziałam nawet sklep z czekoladą! Rowerzyści nawigują w tłumie. Wygląda to jak kartka z przewodnika po Paryżu, a nie jak prawdziwe miasto. Podekscytowanie przesywa mnie niczym błyskawica, ale coś zaczyna mnie też ścisnąć w żołądku. Tak wiele tu jest do zobaczenia. Czy jeden semestr mi wystarczy?

– To pani pierwsza wizyta w Paryżu? – pyta monsieur Polignac.

– Och, *oui* – odpowiadam, odrywając wzrok od okna. – Przez całe życie chciałam tu przyjechać. To ulubione miasto mojej babci. Kiedyś tutaj mieszkała.

Relacjonuję całą karierę artystyczną babci, która śpiewała i tańczyła w całej Europie, a nawet w Nowym Jorku, kiedy miała dwadzieścia lat. Nie wystarczy jednak być tylko wnuczką niezrównanej Diany Curie. Muszę sama wyrobić sobie nazwisko.

L e g e n d a r n a Whitney Curry.

Monsieur Polignac porusza krzaczastymi brwiami; widać, że przestał mnie słuchać, kiedy wjechaliśmy w kolejną wąską uliczkę. Nagle jednak w jego oczach pojawia się niespodziewany figlarny błysk, kiedy bierze zakręt.

– Hm, to nie po drodze, ale każdy powinien to zobaczyć od razu po przyjeździe... – mamrocze do siebie.

Po kilku minutach w korkach zaczynamy się oddalać od centrum i dostrzegam Sekwanę, po której pływają łódki, a turyści robią im zdjęcia. To rzeka z piosenek i wierszy, to wzdłuż niej spacerują pary w filmach o miłości. Po pierwszych minutach spędzonych w tym mieście przepełniają mnie emocje i nagle zyskuję pewność, że wiem, co czują kochankowie w tych wszystkich klasycznych powieściach, których akcja dzieje się w Paryżu.

Ludzie spacerują i jeżdżą na rowerach i skuterach po ulicach, przemieszczają się po licznych mostach. Odczuwam gwałtowne pragnienie, by wsłuchać się w szum rozmów na

bulwarach, by spacerować wąskimi uliczkami. Przyjechałam się uczyć, ale jestem gotowa znaleźć się pomiędzy nimi, poznać to miasto równie dobrze jak materiały do przesłuchań. Rozważam przez chwilę nieopuszczanie szyby, bo chcę się wydać nieco normalniejsza, ale przecież tylko raz w życiu odwiedza się Paryż po raz pierwszy... i należy to zrobić dobrze. Opuszczam więc szybę, by wiatr owiewał mi twarz, kiedy robię zdjęcia polaroidem, który miałam w torebce. Ucisk w żołądku słabnie, wyobrażam sobie, że rozwiewa się na wietrze niczym smuga dymu. Zastępuje go płynne podekscytowanie, które elektryzuje każdą żyłę w moim ciele.

Dojeżdżamy do mostu z wielkimi skrzydlatymi końmi ustawionymi na podestach po obu stronach – wyglądają o wiele dostojniej niż wszystkie pomniki, które widziałam do tej pory. Cały Paryż wydaje się wyrafinowany i elegancki, a stojące niżej lwy są tak bogato zdobione, że moje oczy wręcz się nimi upijają.

– *C'est le pont Alexandre III\** – informuje mnie monsieur Polignac, kiedy ustawiamy się w kolejce do skrętu.

Wychylam się przez okno, próbując obfotografować rzeźby, zanim znikną mi z oczu. Monsieur Polignac odchrząkuje.

– Powinna pani oszczędzać film na to... – Kiwa głową na prawo.

Szczęka mi opada.

Przedemną wyrasta wieża Eiffla. Jej podstawę przesłaniają drzewa i budynki, ale żelaznej konstrukcji nie da się z niczym

---

\* To most Aleksandra III.



pomylić. Jest wysoka, góruje nad miastem, odbijają się od niej promienie słońca. Przez lata marzyłam o tej chwili i oto jestem, mknę nad Sekwaną w samochodzie po najpiękniejszej moście na świecie i patrzę na jeden z najbardziej rozpoznawalnych zabytków. Opuściłam szybę, więc docierają do mnie urywki rozmów po francusku... i w innych językach, których nie rozpoznaję. Ludzie z całego świata chcą być tu, gdzie jestem. Nagle ściska mnie w gardle, czuję pieczenie pod powiekami, kiedy zbierają się pod nimi łzy.

Monsieur Polignac patrzy na mnie z troską, ale nie potrafię się opanować. Łzy płyną mi po policzkach, zanoszę się czkaniem jak dziecko. Czuję się przytłoczona w najlepszy możliwy sposób.

– *Ça va aller, mademoiselle?*<sup>\*</sup> – pyta, zerkając na mnie kątem oka.

– *Oui, ça va*<sup>\*\*</sup> – odpowiadam. – Po prostu chcę zapamiętać tę chwilę.

I choć zdjęcie nie zdoła w pełni uchwycić tego, jak się czuję, i tak podnoszę aparat do twarzy.

– Szkoła jest tuż obok, niedaleko *la Sorbonne*. To *le Quartier Latin*. Krótki spacer dzieli panią od *la Seine*, Sekwany – dodaje po chwili monsieur Polignac.

Mijamy wieżę Eiffla, robię jeszcze kilka zdjęć i ocieram łzy chusteczką, której uprzejmie użyczył mi mój przewodnik dalej przebijający się samochodem przez miasto. Mam wrażenie, że nie obiera najkrótszej trasy, lecz najbardziej widokową

---

\* Wszystko w porządku, proszę pani?

\*\* Tak, w porządku.

ze względu na mnie: wiezie mnie nawet na obrzeża ogrodu Luksemburskiego.

Docieramy do piątej dzielnicy, gdzie znajdują się liczne szkoły i kawiarnie. Młodzi ludzie, zapewne uczniowie i studenci, siedzą przy stolikach, palą i śmieją się, podręczniki pewnie wcisnęli do toreb leżących pod stołem i całkiem o nich zapomnieli.

Tyle tu jest do zobaczenia, perspektywa jest ekscytująca, ale czuję też narastające zdenerwowanie na myśl, że będę sama poruszać się po tych ulicach. Kiedy zaczęłam prowadzić, mama żartowała, że zgubiłabym się nawet w drodze do szkoły. Nie myliła się...

Ale pomyślę o tym jutro. Dzisiaj cieszę się swoją pierwszą paryską przejażdżką w intensywnym paryskim ruchu. Lepiej skupić się na widokach, które są tego warte.

Wyciągam z torby papierową mapę i wodzę krótkim – lecz pomalowanym na gustowny beżowy kolor – paznokciem po różnych dzielnicach, które układają się spiralnie niczym muszla ślimaka. Pokolorowałam każdą z nich i zaznaczyłam miejsca, które chcę odwiedzić.

– Cóż, „zobaczenie wieży Eiffla po raz pierwszy” mogę wykreślić z listy! – Kładę na kolanach mapę, a na niej swój notes i to właśnie robię.

– Tak będzie pani zwiedzać Paryż? – śmieje się monsieur Polignac. – Według listy?

– Ten system jeszcze nigdy mnie nie zawiódł. Nie ma nic złego w zapisywaniu różnych rzeczy, a potem odhaczaniu ich. Mnie to uszczęśliwia. – Macham lekko listą w jego stronę.

– Co pani tam ma?

Odchrząkuję i wypinam pierś. Przez całe lato badałam temat. Weryfikowałam i obmyślałam Epicką Paryską Listę Przeżyć Whitney Curry dziesiątki razy. Jest nie do obalenia. Otrzymała trzy odznaczenia od trzech pokoleń kobiety Curry – babci, mamy i *moi*.

Zaczynam czytać:

– Po pierwsze, zobaczyć wieżę Eiffla. Następnie zorganizować sobie pod nią luksusowy piknik z serami i... – Kaszlę, aby zagłuszyć słowo „winem”.

Monsieur Polignac wybucha śmiechem.

– Po drugie, odwiedzić wszystkie muzea, a przede wszystkim Luwr.

– *Bien sûr*\*\*.

– Po trzecie, cały miesiąc poświęcić na kościoły. Notre-Dame, Sacré-Cœur, Sainte-Chapelle i tak dalej...

– I tak dalej... – Unosi brwi. – Proszę nie zapominać, że nasza ukochana Notre-Dame nie została jeszcze odbudowana po pożarze i nie jest otwarta dla zwiedzających.

– No tak. W takim razie złożę jej wyrazy uszanowania z daleka. Zaznaczyłam wszystkie ważniejsze kościoły. – Wskazuję na szczegółową mapę, aneks do listy, którą rozłożyłam sobie na kolanach. – Muszę odwiedzić Moulin Rouge i nauczyć się robić makaroniki i eklery. Ale nie wiem jeszcze, który kurs cukierniczy jest najlepszy. Chcę iść na spacer po Polach

---

\* Mnie.

\*\* Oczywiście.

Elizejskich i wejść do wszystkich tych sklepów. – Stukam palcem w mapę. – Chcę eksperymentować z perfumami, skomponować jakieś własne, jechać do Wersalu, odwiedzić mistrza czekolady... – Moje usta z trudem nadążają za listą, prawie potykam się na tym ostatnim punkcie. Jedną z największych miłości mojego życia, poza vintage’owymi sukienkami i teatrem połowy XX wieku, jest czekolada. Nawet nie wiem, czy chcę jej tutaj próbować, bo potem pewnie już żadna inna mi nie zasmakuje.

– Ma pani dużo planów. – Monsieur Polignac posyła mi spojrzenie, w którym mieszają się zdumienie i rozbawienie. Wiem, że to oznacza koniec recytowania listy, choć to jeszcze nawet nie połowa.

Jestem gotowa na najlepszy semestr życia, który zacznie się od skreślenia wszystkich punktów na mojej paryskiej liście. Większość z nich służy zdobywaniu wiedzy (jak to często bywa w przypadku marzeń), która przyda mi się do napisania i wystawienia najwspanialszego kobiecego monodramu na koniec szkoły. Nawet babcia będzie ze mnie dumna.

Mój przewodnik zerka na mnie, po czym skręca w lewo, w ślepą uliczkę. Przez przerwę w żywopłocie widzę boisko do nogi pełne chłopaków w moim wieku, którzy uganiają się za biało-czarną piłką. Jeden z nich podstępnie przedziera się naprzód i kopie piłkę w przeciwną stronę, co budzi zbiorowy jęk protestu. Skupiona twarz chłopca rozpromienia się w przelotnym uśmiechu i na ten widok ja również unoszę kąciuki ust.

Monsieur Polignac zauważa, na co patrzę, i kończy myśl:

– Zobacz pani więcej, jeśli zacznie spacerować bez planu. To takie miasto, gdzie magię znajduje się w najbardziej nieoczekiwanych miejscach. Można ją przeoczyć, kiedy biega się wszędzie z przewodnikami i internetem.

Kiwam głową z uśmiechem. Pewnie.

Nie wierzy w potęgę list.

Nie wie, co traci.

Nigdy nie pozostawiłabym studiowania za granicą przypadkowi. Magię się tworzy, a nie odkrywa.

Wyciąga rękę przed siebie.

– *Et voilà!*

Na końcu brukowanej drogi wyrasta masywna budowla w kremowym odcieniu z wesołymi okiennicami, żelaznymi poręczami i różowymi skrzynkami, z których wylewają się kwiaty. Jak domek z piernika. To pierwsze, co przychodzi mi do głowy. Jak z bajki.

– Witamy w Lycée International des Arts!

Podnoszę wzrok. Oblewa nas ciepłe światło.

– Witaj w domu, Whitney Curry – szepczę do siebie. Biorę uspokajający oddech i otwieram drzwi.



## SCENA DRUGA

MNIEJ WEWNĘTRZNYCH MONOLOGÓW.  
WIĘCEJ WERBALNEGO FILTRA

Tyle jest do zobaczenia po drodze do pokoju! Co kilka kroków przystaję, by podziwiać widok z okna, wspaniałe francuski krajobraz wiszący na ścianie, bibliotekę wypełnioną od podłogi do sufitu książkami. Wyobrażam sobie, że spaceruję po tych korytarzach z naręczem dramatów pod pachą i gawędzę z przyjaciółmi, kiedy nagle najwytworniejsze schody, jakie w życiu widziałam, sprawiają, że wstrzymuję oddech. Monsieur Polignac potyka się na moim kufrze. Ups. Mamrocze coś, a ja odwracam się do niego z przeproszącym uśmiechem.

– Proszę wybaczyć, ale to takie dekadencje – mówię. Zatracam się w kolejnym śnie na jawie, tym razem o sukience vintage ze spódnicą z koła, fascynatorze i koronkowych

rękawiczkach, w których wiruję i tańczę na stopniach, podczas gdy rój fotografów błaga mnie o zdjęcie.

Zapisuję w głowie, aby sobie zanotować ten pomysł, kiedy z błogiego zamyślenia wyrывa mnie stęknienie po mojej lewej. Monsieur Polignac podnosi mój kufer, by wnieść go na schody.

– Dobrze – mruczy. – *Allons-y*.\*

– Słucham? – Mój mózg znów nie przełączył się w porę na francuski.

– Chodźmy, mademoiselle Curry. – Jest już prawie na półpiętrze. – Zaprowadzę panią do pokoju.

Okazuje się, że mój pokój znajduje się na szóstym piętrze... czego bardzo żałuję, kiedy zdyszany monsieur Polignac opuszcza mój kufer na ziemię pod drzwiami z napisem 5A z takim impetem, że się krzywię. Mam nadzieję, że zawartość jest cała.

*Nie to jest najważniejsze, Whitney*, upominam się w myślach.

– To tutaj. – Mężczyzna ociera czoło chusteczką. – Proszę się rozgościć.

Podaje mi klucz, po czym posyła mi łagodniejsze, choć nadal nieco sceptyczne spojrzenie i odchodzi korytarzem... rozmasowując sobie krzyż.

Zerkam na drzwi, na których widzę trzy nazwiska: Nora Belaïdi, Sophie Bernard i Whitney Curry, napisane na karteczkach przyklejonych pod numerem 5A. Wzbiera we mnie fala zniecierpliwienia i podekscytowania.

---

\* Chodźmy.

Już mam nacisnąć klamkę, kiedy drzwi się otwierają. Staje w nich wysoka, szczupła biała dziewczyna o delikatnych długich blond włosach. Druga siedzi na łóżku pod oknem, ma jasnobrązową cerę i kręcone ciemne włosy zebrane w kucyk.

– Cześć! – Uśmiecham się do nich promiennie. – A raczej: *salut!* Będziemy razem mieszkać!

Dziewczyny zerkają na siebie porozumiewawczo.

– Cześć, jestem Nora. – Blondynka ma ciężki, gardłowy, francuski akcent i oszałamiająco niebieskie oczy. – Uczę się tańca i jestem z Belgii.

*Świetnie*, myślę. Gdyby uczyła się teatru, nie opędziłaby się od reżyserów.

Nora od razu wraca na krzesło, aby kontynuować rozmowę wideo ze śliczną czarną dziewczyną, z którą zapewne się połączyła, zanim się pojawiłam.

Dziewczyna na ekranie przenosi na mnie wzrok. Rozmawiają po francusku, ale sens rozumiem: „Kto to jest?”.

– To nasza współlokatorka, Fatimo, bo ty postanowiłaś w ostatniej chwili nas wystawić – informuje ją Nora po angielsku, pewnie celowo, ze względu na mnie.

*Rozumiem. To nie ja miałam tu mieszkać. Nie byłam ich pierwszym wyborem.* Czuję intensywność tej chwili, ale postanawiam to od siebie odsunąć. Nie pozwolę, żeby popsuło mi to humor. Zerkam na drugą dziewczynę i znów się uśmiecham, podczas gdy Nora i dziewczyna na ekranie – Fatima – kończą rozmowę pospieszną szeptaną francuszczyzną.



– Ja jestem Sophie – informuje mnie obojętnym tonem dziewczyna na łóżku. – Szwajcaria. Kompozycja. – Też jest bardzo ładna, ale niższa, ma jasnobrązową skórę i włosy kręcące się pod słuchawkami, które zawiesiła na szyi.

– To wspaniale! Whitney Curry, teatr, USA. – Chcę dodać coś więcej o sobie, ale pragnienie, by rozprawić się z chłodnym powitaniem przez Norę, walczy z pokusą, by udokumentować ten wstęp do mojego nowego życia. – Momencik.

Wnoszę kufer i walizę do środka i stawiam je przy jedynym wolnym łóżku, w najdalszym kącie obok szafy i drugiego okna, a następnie wyciągam z torebki mój polaroid w odcieniu lawendy.

Robię zdjęcia całego pokoju, łóżek pod oknami i biurka. Na ścianach i podłodze jeszcze nic nie ma, leży tylko kilka zamkniętych walizek. Nora i Sophie musiały przyjechać niedługo przede mną.

– Wiem, że wszystkie będziemy zajęte nauką, ale chcę zrobić tyle rzeczy. Myślicie, że to zbyt ambitny plan: zajrzeć do każdego sklepu z czekoladą w mieście? – Kieruję obiektyw na wizytówki na drzwiach i pstrykam fotkę.

Sophie i Nora milczą. Fatima nadal wyświetla się na ekranie Nory i też mi się przygląda. Zerkam na nie i włącza się moja wrodzona i krępująca potrzeba, by za wszelką cenę wypełnić ciszę, więc kontynuuję:

– Może w okolicy jest jakiś sklep... Zrobiłam listę wszystkich kawiarni i cukierni w odległości spaceru od szkoły.

Znów sięgam do torebki, wyciągam kolorową mapę Paryża i im pokazuję. Przy okazji wypadają mi dwa awaryjne

tealighty. Wybucham nerwowym śmiechem. Te dziewczyny są okropną widownią. Równie dobrze mogłabym rozmawiać z marmurowymi rzeźbami. Na samą myśl czuję mrowienie na skórze.

– Ale najpierw muszę się przebrać – dodaję i obejmuję gestem swoją rozczochną postać, chichocząc. Ku własnemu przerażeniu nie mogę przestać. – Nie ma nic gorszego, niż pozostać w stroju podróznym. Nie mam pojęcia, jak robią to ludzie, którzy nawet w samolocie wyglądają modnie. – Zaczynam wyłuskiwać się ze spodni.

Nora i Sophie marszczą brwi. Nareszcie jakaś reakcja! Uśmiecham się lekko. Osoby związane z teatrem mają jedną wspólną cechę: nie przeszkadza nam przebieranie się w większej grupie.

Muszę się nagimnastykować, aby naciągnąć na pupę czyste szorty. Wyglądam w nich bardzo korzystnie, ale w pasie są nieco zbyt ciasne na moje jędrne pośladki, więc sprawiają nieco kłopotów podczas wkładania. Czego się nie robi dla urody?

Nora ściszym głosem żegna się z Fatimą i zamyka laptop, co sprawia, że znów zaczynam mówić, zanim przyjdzie mi do głowy, że może nie najlepiej wypadłam przed swoją niedosłą współlokatorką.

– Mamy tu jakieś lustro? – pytam, ale zanim padnie odpowiedź, dostrzegam wysokie lustro na drzwiach jednej z szaf. – *Parfait!*\* – Obracam się, aby obejrzeć się pod kilkoma różnymi kątami, a przy okazji ukradkiem zerkam na swoje

---

\* Doskonale!

współlokatorce. Podnoszę ręce do warkoczyków i upinam z nich luźny węzeł, żeby czymś się zająć.

W pokoju są dwa duże okna. To pomiędzy łózkami Nory i Sophie wychodzi na szkołę, a to bliżej mojego łóżka i szaf – na dziedziniec. Wyglądam na zewnątrz, kiedy się czeszę. Jest tam pięknie utrzymany trawnik ze schludnymi kwietnymi rabatami i krzewami, fontanną dla ptaków i uroczymi ławeczkami, które w miejscu podłokietników mają żelazne zawijasy.

– Mieszkamy w domu jak z *Madeline* – mrużę pod nosem. Odwracam się na pięcie do współlokatorek. – To kto ma ochotę na czekoladę?

Mój uśmiech blednie, kiedy Nora i Sophie spoglądają na siebie; Nora ma nieco posępniejszą minę niż Sophie. Przygryzam dolną wargę. Czuję, że przesadzam, ale kiedy potwierdza to ich reakcja, ściska mnie w żołądku. Sophie podnosi się powoli z łóżka i podchodzi do Nory ostrożnie, jakby próbowała mnie nie przestraszyć i obawiała się, że jakikolwiek gwałtowniejszy ruch na nowo mnie odpali.

*Ups, myślę. Nieźle, Curry. Naprawdę należałoby się ogarnąć.*

– M-musimy coś skonsultować z monsieurem Polignac – oświadcza Sophie. Ma delikatniejszy akcent niż Nora, ale i tak lekkość, z jaką wymawia francuskie nazwisko, budzi mój podziw. Mnie nigdy nie wychodziło to „gn”: kolejna rzecz do dopisania do listy Rzeczy, Które Chcę w Sobie Doskonalić. – Zobaczmy się później.

Bierze Norę za rękę, ale blondynki nie trzeba zachęcać. Wychodzi za Sophie i cicho zamyka drzwi.

– Okej... – Wzdycham i zwieszam ramiona. – Nieźle poszło.

Otrząsam się z tego. Dosłownie. Poruszam całym ciałem, by uwolnić się od tej nerwowej energii, która mnie ogarnęła po pierwszym niezręcznym spotkaniu z nowymi współlokatorkami, i oddycham głęboko. Babcia mówi, że głęboki oddech jest dobry na wszystko. Jak dotąd zawsze miała rację: jej rady wyleczyły mnie z tremy, dodały mi determinacji, aby sprzedać rodzicom pomysł na ten wyjazd, pomagały mi zasnąć w te noce, kiedy kotłowało mi się w głowie. Wierzę więc, że głęboki oddech pomoże mi ukoić nerwy. Od zawsze miałam w planie podróż do Paryża, ale nie to, że wszystko mnie nieznośnie przytłoczy i przestraszę nowe koleżanki, które najwyraźniej planując uzupełnienie swojego trio, nie miały na myśli gadatliwej Amerykanki. Właściwie miały na myśli kogoś totalnie innego.

*Wszystko jest kwestią perspektywy*, przypominam sobie, prostując plecy i unosząc brodę. Co z tego, że nie było to *grande entrée*, o którym marzyłam? To normalne, że nawet najlepszym rzeczom, takim jak życie marzeniami, towarzyszy więcej uczuć w praktyce niż w teorii. To nic, że nie wiem jeszcze, jak pomieścić w sobie to wszystko. Dopiero przyjechałam. Mogę dać sobie czas.

I tak, bywam... intensywna. W końcu jednak wszyscy obdarzają mnie sympatią, dostrzegają, że jestem uroczym promykiem słońca.

W końcu.

---

\* Wielkie wejście.

Siadam przy biurku, biorę torbę z łóżka i zaczynam rozkładać na małej półce wszystkie swoje największe skarby. Zdjęcie babci występującej w paryskim kabarecie w latach siedemdziesiątych. Lawendowy polaroid. Wypchany notes w skórzanej oprawie, do którego wkładam karty pokładowe.

Zadowolona z kompozycji, podnoszę wzrok i wyglądam przez okno. Zapada zmierzch, niebo płonie ognistą czerwienią i pomarańczą na horyzoncie, a wyżej przechodzi w granat. Błyska jedna gwiazda, potem druga, rywalizują z zachodzącym słońcem o palmę pierwszeństwa.

Poprawiam się. Nie rywalizują. Ich blask jest unikatowy, świecą o innych porach. Dziela scenę i stają się dzięki temu jeszcze piękniejsze.

Kiedy o tym myślę, moją uwagę przykuwa inny rodzaj światła. Mój telefon rozbłyskuje kolejną powodzią wiadomości od mamy. Odpisuję szybko, by dać jej znać, że do nowej szkoły – LIA – dotarłam bezpiecznie i że zadzwonię, kiedy się rozpakuję i zadomowię.

W odpowiedzi przychodzi emotikon podniesionego kciuka, telefon przestaje brzęczeć, więc przełączam się na kolejny wątek.

Napisała do mnie Archi, moja najlepsza przyjaciółka, która również przygotowuje się do studiowania za granicą: w przyszłym semestrze leci do indyjskiego Radżastanu. Nasze waszyngtońskie liceum gorąco zachęca do semestralnych i rocznych wyjazdów zagranicznych, które powinny współgrać z naszymi ścieżkami edukacyjnymi. Mam wielkie szczęście, że biorę udział w tak elitarnym paryskim programie. Moja

trupa teatralna to tylko pięć osób z całego świata, a program obejmuje też taniec, sztuki wizualne, kompozycję i muzykę.

Archi weźmie udział w programie skoncentrowanym na historii sztuki i muzealnictwie. Jak ją znam, pewnie już się pakuje, choć wyjeżdża dopiero za kilka miesięcy. Przesłała mi selfie z elementami nowego albumu, nad którym pracuje, jej uśmiech przesłania ekran.

**Archi:** Żałuję, że mnie tam nie ma!

Uśmiecham się.

**Whitney:** Jesteś właśnie tam, gdzie powinnaś być.  
Pogadamy niedługo?

Tak, ona jest na swoim miejscu, a ja na swoim. Whitney Curry, Amerykanka w Paryżu.



– A jeśli możesz, noś torbę przewieszoną przez ramię tak, żebyś miała ją na brzuchu, bo to utrudni życie złodziejom.

Siedzę w bibliotece na parterze otoczona książkami w twardej oprawie o złożonych brzegach. Pomieszczenie jest staroświeckie i przytulne, klimat ocieplają ręcznie tkane dywany i długie kanapy modne na przełomie wieków. Są cudowne, ale też średnio wygodne, więc podwinęłam nogi pod pośladki,

kiedy usiadłam w rogu jednej z nich, i oparłam się o twarde podłokietnik, żeby pogadać z mamą na wideoczacie.

– Dobrze – odpowiadam nieprzytomnie. Poprawiam słuchawkę i przesuwam się nieco tak, żeby światło z lampy, obok której siedzę, padało na moją twarz. – Aczkolwiek moim zdaniem, jeśli ktoś próbuje cię okraść, to po prostu masz pecha.

W słuchawce zapada cisza. Widzę tylko czubek kuczka mamy, która szuka w komodzie sportowego topu, ale wiem, że jej twarz wyraża skrajną dezaprobatę. Od razu ogarnia mnie poczucie winy.

– Whitney – mówi stanowczo mama, kiedy jej mina wypełnia cały ekran. Jest już po pracy i jak każda normalna osoba powinna rozciągnąć się na kanapie i oglądać seriale, ciesząc się ciszą w domu bez nastolatków, ale ona idzie pobiegać.

Kto robi takie rzeczy?

– To część umowy – kontynuuje, zrzucając szybko ubrania waszyngtońskiej prawniczki, czyli granatowe spodnium i kremową bluzkę, by zastąpić je strojem do ćwiczeń. – Pozwoliłam ci jechać do Paryża, a ty obiecałaś jak najlepiej zadbać o swoje bezpieczeństwo.

– Wiem, mamó – wzdycham i odchylam głowę, która trafia na ozdobny drewniany element. Boli bardziej, niż się spodziewałam. – Ale twoje bezustanne ostrzeżenia sprawiają, że czuję się jeszcze bardziej nieswojo. Rozumiem, że chcesz, bym wróciła w jednym kawałku. Ja też tego chcę! Ale umrę przez ciebie z nerwów, zanim zdołam cokolwiek tutaj zobaczyć albo zrobić.

Nie dodaję, że mój organizm nie znieśie zmasowanego ataku jej lęków i moich lęków. Staram się mówić spokojnie i łagodnie, nie krytykować, bo wiem, że mama to docenia.

Moje wysiłki zostają nagrodzone: mama nagle pociąga nosem, jej nozdrza się rozchylają.

– Rozumiem – oznajmia, zdejmując surowe czarne kanciaste okulary, które zakłada do pracy.

Czekam, bo wyłożyłam swoje racje, więc teraz czas, by ona wyłożyła swoje. Czasami spotykamy się pośrodku, często nie, ale przynajmniej staramy się wzajemnie zrozumieć.

– Skarbie, twoja babcia jeździ, gdzie chce, i robi, co chce, bo Bóg pozbawił ją potrzeby robienia użytku ze zdrowego rozsądku, którym ją obdarował. – Wpadanie w sam środek sprzeczek mamy i babci to zmora mojego życia, ale tym razem nie komentuję tej złośliwości. I dobrze, jak się okazuje, bo mama mówi dalej już łagodniejszym tonem. – Twoja babcia często podejmuje ryzyko. Nie potrafię zrozumieć ani tak samo zaryzykować. Jesteś do mnie podobna pod wieloma względami, ale do niej również. Jesteś odważna. Śmiała. Chcesz zwiedzać świat. Mnie jest dobrze tu, gdzie jestem. Ten przymus podróżywania? Ja go nie czuję, więc musisz wykazać się cierpliwością wobec mnie, kiedy próbuję pojąć, jak cię najlepiej w tym wspierać.

Wiem, że mama nigdy nie zabroniłaby mi zrobić czegoś, czego naprawdę bym pragnęła, ale jej lęki trochę ją sabotują. Mogę jednak wybaczyć jej nadopiekuńczość, stara się. Ja też.

Rozumiem. Ma rację. Odziedziczyłam po niej biodra i uda, uśmiech i długie włosy. Jeśli wierzyć genetyce, będę laską



nawet po czterdziestce. Obie uwielbiamy chodzić do sklepów papierniczych, gdzie realizujemy nasze piśmiennicze marzenia. Nigdy się nie spóźniamy na umówione spotkania... no dobrze, zdarzyło się to raz: do kościoła, kiedy miałam piętnaście lat, i to tylko dlatego, że przed rozwodem tata akurat był w domu w ten weekend i w mniej niż dwadzieścia cztery godziny zdołał zgubić swoje ulubione krawaty.

Tam, gdzie mama nie potrafi mnie zrozumieć, zwłaszcza w kwestii uwielbienia dla ubrań vintage i uroków sceny, niezmiennie wkracza babcia. To ona zapłaciła za mój pierwszy zestaw do makijażu scenicznego, kiedy grałam w przedstawieniu w dziewiątej klasie – bo wszystko, co zapewniła nam szkoła, było stare i pasowało tylko do białych dzieciaków. To ona zabrała mnie na pierwszy występ Alvin Ailey American Dance Theater na moje trzynaste urodziny. Odstrzeliłyśmy się i wkroczyłyśmy do Kennedy Center niczym królowe życia. Kiedy mama wahała się, czy pozwolić mi wyjechać za granicę, to babcia kupiła mi bilet lotniczy i przesłała go mojej matce, aby ta nie miała już żadnych wymówek.

Odziedziczyłam po nich to, co najlepsze, ale to awanturniczy duch babci popchnął mnie za Atlantyki.

– Chcę, żebyś wspaniale się bawiła – kwituje w końcu mama, schodząc po schodach do drzwi w naszym domu, gotowa do bieganina. Czuję ukłucie czegoś, co nie może być tęsknotą, ponieważ przecież dopiero przyjechałam. Uśmiecha się do mnie. – Ale masz przy tym zadbać o swoje bezpieczeństwo.

Obiecuję, że tak będzie, bo wielozadaniowość to moje drugie imię!



Po rozmowie z mamą wracam na górę, biorę prysznic, rozpakowuję się i kładę do łóżka, zastanawiając się, czy to naprawdę jest moje życie. Czuję potrzebę przegadania tego z kimś, ale Nora i Sophie już spały, kiedy przyszłam, a biorąc pod uwagę przebieg naszego pierwszego spotkania, nie wydaje mi się, aby wybudzenie ich z fazy REM poprawiło mój wizerunek w ich oczach. Wzdycham i przewracam się na drugi bok.

Jeśli przesunę się na krawędź łóżka, widzę z niego okno. Staroświeckie latarnie zalewają ogród miękkim blaskiem, na niebie gwiazdy przejęły pałeczkę od słońca. Może to moja wyobraźnia, ale wydaje mi się, że widzę ich więcej niż w domu. Więcej gwiazd to więcej życzeń, prawda?

Kiedy się w nie wpatruję, układam nową listę do zapisania.

#### Obietnice, których muszę dotrzymać

1. Mój pierwszy dzień tutaj przejdzie do historii.
2. Będę wdzięczna za każdy krok na tej drodze.
3. Nigdy nie zignoruję tego widoku.